

Wpływ PZPR na zachowania społeczne

Dyskusja z udziałem: Błażeja Brzostka, Jerzego Eislera, Dariusza Stoli, prowadzona przez Grzegorza Waligóę

Grzegorz Waligóra: Szanowni panowie, tematem przewodnim niniejszego numeru pisma „Pamięć i Sprawiedliwość” jest historia Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i różne aspekty jej funkcjonowania. W ostatnich latach można zaobserwować zwiększone zainteresowanie historyków dziejami partii, czego przejawem są chociażby badania prowadzone w Instytucie Pamięci Narodowej w ramach Centralnego Projektu Badawczego, kierowanego przez prof. Jerzego Eislera.

Wydaje się, że jednym ze słabiej zbadanych tematów, niechętnie podejmowanych przez badaczy, jest szeroko rozumiany wpływ PZPR na zachowania społeczne, w tym historia społeczna samej PZPR. Przecież działacze partii byli częścią społeczeństwa. Tymczasem o tzw. masie członkowskiej wiemy znacznie mniej niż o władzach. Chciałbym poprosić panów o krótkie podsumowanie dotychczasowego stanu badań nad tym tematem, zastanowienie się, dlaczego tak się dzieje oraz jakie są najważniejsze postulaty badawcze, jakie pytania powinno się stawiać, bo chyba źródeł nie brakuje. Można wręcz powiedzieć, że jest ich nadmiar. Z pewnością brakuje natomiast badań, w tym porównawczych, zwłaszcza w kontekście historii społecznej w innych krajach bloku wschodniego, a także tego, co działo się w Europie Zachodniej. Bardzo proszę, może rozpocznie prof. Jerzy Eisler.

Jerzy Eisler: Przede wszystkim zacznę od stwierdzenia, że chociaż o Polsce Ludowej pisze zawodowo jeżeli nie sto, to dobrych kilkadziesiąt osób, to moim zdaniem wie, co pisze, i umie pisać na ten temat nie więcej niż trzydzieści. Dlaczego tak uważam? Bo nie jest badaniem dziejów PRL czy PZPR przepisywanie dokumentów, gdy bez pogłębionej refleksji cytuje się na przykład fragment przemówienia Władysława Gomułki. Nie poddaje się analizie języka tego przemówienia ani nie zastanawia się, do kogo w rzeczywistości było ono adresowane (np. do własnej bazy politycznej czy może do „towarzyszy radzieckich”). W taki sposób można nawet książkę napisać, nie mówiąc o niejednym artykule czy referacie z konferencji. Na usprawiedliwienie tych kolegów mam to, że ciągle jeszcze – chociaż brzmi to nie do końca poważnie – jesteśmy na etapie wypracowywania języka opisu dziejów PZPR. Niedawno przeglądałem pewną książkę. Gdy ją otworzyłem, to miałem wrażenie, jakby została wydana w latach siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych, a jestem przekonany że autor w swoim mniemaniu napisał krytyczną pracę na temat jednej ze struktur PZPR.

Dariusz Stola: W przypisie znalazło się odwołanie do Karola Marksa?

J.E.: Nie, nie, ale taki właśnie był język, charakteryzował się wyrażeniami w rodzaju: „nastąpiła konsolidacja sił lewicy społecznej”, „atrakcyjny program”, „partia inspirowała wiele działań na tym terenie” itd. I tym sposobem mamy nie rok 2016, lecz lata siedemdziesiąte czy osiemdziesiąte. To jest pierwsza sprawa, na którą trzeba zwrócić uwagę. Druga, być może zabrzmie to dziwnie, lecz – moim zdaniem – jest to nadmierna dostępność materiałów archiwalnych. Nie jestem oczywiście za zamykaniem archiwów, ale niektórzy historycy mają ambicje przeczytania wszystkiego. Nazywam to efektem horyzontu. Piszą np. doktorat i w szóstym czy siódmym roku pracy twierdzą, że już kończą, ale jeszcze nie przejrżeli materiałów jakiegoś departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych czy wydziału Komitetu Centralnego, a potem jeszcze – we własnej ocenie – powinni „zejść w teren” i dokładnie zapoznać się z archiwami regionalnymi. Oczywiście w taki sposób nigdy nie napisalibyśmy żadnego artykułu, nie mówiąc o przynajmniej jednej książce w życiu, ponieważ nie starczyłoby nam czasu na przeczytanie choćby większości materiałów archiwalnych dotyczących historii najnowszej. To starożytnik czy ewentualnie mediewista może powiedzieć, że zna wszystkie źródła, i to też nie wszystkie dosłownie, ale w każdym razie *gros* źródeł dotyczących przedmiotu jego badań. Natomiast żaden badacz dziejów najnowszych tak twierdzić nie może, bo jest to po prostu niemożliwe. Historycy zawsze narzekają na brak archiwaliów, na ograniczony czy utrudniony dostęp do nich, ale to, co się stało w ciągu ostatnich kilkunastu lat w Polsce – pełne odtajnienie materiałów PZPR: centralnych, regionalnych, a później, za sprawą Instytutu Pamięi Narodowej, także dokumentów służb specjalnych i aparatu bezpieczeństwa – jest rzeczywiście sytuacją nietypową, a dla badaczy innych epok wręcz dziwną i niezrozumiałą. Na koniec w tej pierwszej turze chciałbym dopowiedzieć jeszcze, że zajmowanie się obecnie historią PZPR wymaga pewnej odwagi cywilnej, a nawet – powiedziałbym – swoistego heroizmu. Jeśli dzisiaj ktoś mówi, że heroizmu wymaga zajmowanie się Katyniem, to mówi nieprawdę. Zajmowanie się Katyniem odwagi wymagało w PRL. Dzisiaj nie wymaga jej ani zajmowanie się podziemiem niepodległościowym, ani martyrologią Polaków na Wschodzie, ani zbrodniami komunistycznymi. Nie wymaga odwagi cywilnej ani w żadnym razie nie jest wbrew oczekiwaniom społecznym. Natomiast zajmując się partią, można niekiedy usłyszeć: „Jak Panu nie wstyd? Jak Pan może? Czym się tutaj zajmować? Tymi bandytami, zbrodniarzami?” itp. A zatem badanie historii PZPR bywa z tego powodu dość niewdzięczne. Nie mówię tego, żeby się skarżyć. Skoro się tą problematyką zajmuję zawodowo, to znaczy, że sam dokonałem właśnie takiego wyboru.

D.S.: Chciałbym wskazać trzy kwestie (czy pola badań) i trochę doprecyzować przedmiot naszej rozmowy. Jak pan powiedział, ważne jest to, jaki wpływ miała PZPR na postawy społeczne. To gigantyczny temat, bo PZPR była monopartią, a ściślej partią hegemoniczną, w scentralizowanym systemie władzy, w wysoce zetatywowanym społeczeństwie. Oddziaływała na społeczeństwo nie tylko za pomocą własnego aparatu i swoich członków, ale też za pomocą aparatu państwowego, mediów, podporządkowanych sobie organizacji społecznych. Pytanie o wpływ PZPR na postawy jest zatem pytaniem o wpływ stworzonego przez nią porządku społeczno-politycznego, co sprawia,

że dryfujemy ku ogólnej historii PRL. Dlatego sądzę, że warto doprecyzować, zawęzić pole badawcze do, by tak rzec, pierwszej linii styku partii z jej otoczeniem – do relacji między organami partii, jej funkcjonariuszami i działaczami z instytucjami i osobami niepartyjnymi. W ten sposób w historii rządów PZPR, czy w ogóle jej oddziaływania na społeczeństwo polskie, wyodrębniamy pole węższe – oddziaływań bezpośrednich i pole szersze – wpływu zapośredniczonego. Trzecia kwestia jest łatwiejsza do określenia: to historia wewnętrzna partii, w tym jej historia społeczna. To temat ważny, ciekawy i ciągle niewystarczająco opracowany. Przecież była to organizacja masowa, liczyła w pewnym momencie ponad trzy miliony ludzi. Była też wielką organizacją biurokratyczną, zatrudniającą kilkadziesiąt tysięcy ludzi, co otwiera pole dla socjologicznych i politologicznych analiz organizacji.

Zajmowałem się trochę historią społeczną PZPR, patrząc na partię jako na pewną instytucję nie tylko będącą nią w sensie formalnym (mającą określone przepisy, statuty itd.), lecz także mającą schematy działania i wzorce postępowania członków. Wydaje mi się to ciekawe i ważne, tym bardziej że być może jest trwalsze niż sama PZPR. Okres PRL pozostawił nam przecież swoje dziedzictwo, dziedzictwo materialne i niematerialne, dostrzegalne w pewnych wzorach zachowań, skłonnościach czy schematach myślenia. Na przykład skłonność do rządzenia z tylnego siedzenia, to przecież główna cecha Biura Politycznego, czy w ogóle rządów PZPR, na różnych szczeblach. Komuniści nie byli w tym pionierami, przecież Piłsudski przez sporą część rządów sanacji rządził, nie będąc ani premierem, ani prezydentem, ale praktyka takiego rządzenia w PRL była tak dominująca i rozpowszechniona, że dzisiejsze skłonności tego rodzaju z pewnością noszą ich ślady.

Gdy już określimy nasze pola badawcze, warto spytać, co nas na nich szczególnie interesuje? To mogą być bardzo różne rzeczy – mnie np. interesowały finanse, ale nie ze względu na same pieniądze, tylko jako pewne źródło danych na temat PZPR jako złożonej organizacji. Nie bez powodu w każdej większej firmie są księgowi, nie tylko po to, żeby płacić podatki, ale po to, by zapewnić właścicielom i kierownikom informacje o tym, co się w firmie dzieje, jakie są faktyczne priorytety jej działalności, mocne i słabe strony, szanse i zagrożenia. Kogoś innego może interesować wewnątrzpartyjny język, obyczaje i praktyki albo rola płci. Notabene ten ostatni temat jest godny zbadania, przecież maskulinizacja partii i jej ośrodków władzy była uderzająca. Pomijając nieszczęsną towarzyszkę Zofię Grzyb, im wyższy szczebel, tym mniejszy był odsetek kobiet. Kogoś innego może interesować partia z punktu widzenia etnicznego, np. udział mniejszości, który do tej pory był oglądany chyba tylko ze względu na kwestię tzw. żydokomuny. Różnych perspektyw i tematów jest w zasadzie nieskończenie wiele. Te tematy i perspektywy wymagają z kolei różnych metod i typów źródeł. Jeśli ktoś bada mechanizmy władzy na poszczególnych szczeblach, to będzie sięgał po inne źródła niż ten, kto próbuje ustalić, jak wyglądały posiedzenia podstawowej organizacji partyjnej. Mamy już trochę badań na temat komitetów wojewódzkich czy powiatowych, ale mniej wiemy, jak wyglądał teatr życia codziennego w tych partyjnych urzędach czy na zebraniu POP. Profesor Eisler już mówił o źródłach, ale warto to podkreślić, że to nie tylko nasz skarb, ale i klątwa. Nie wiem, czy w historii zdarzył się inny wypadek uwolnienia takiej masy źródeł jak w Europie Środkowo-Wschodniej po obaleniu rządów komunistycznych. To

była bezprecedensowa rewolucja w reżimach biurokratycznych, które wyprodukowały i pozostawiły po sobie ocean papieru, o bardzo zróżnicowanej jakości. Nie wiem, jak panowie, ale ja lubię lata siedemdziesiąte, bo kultura biurowa bardzo się wówczas poprawiła. Tekst dokumentów archiwalnych jest czytelny, bo i maszyny do pisania kupili lepsze, i papier ma lepszą jakość, a w aparacie pracowali bardziej wykształceni ludzie niż w latach pięćdziesiątych, więc pisali wyraźniej, łatwiej zrozumieć, o co im chodzi.

Błażej Brzostek: Ale protokoły są bardziej zwarte...

D.S.: Tak, ale pojawiają się stenogramy, czy nagrania, taki pełny zapis wypowiedzi to skarb, bo proces decyzyjny podaje nam na tacy i jeszcze zachowuje specyficzne bogactwo ich koślawego języka. Szkoda, że Jaruzelski kazał niszczyć stenogramy Biura Politycznego z lat osiemdziesiątych, co notabene pokazuje, że rozumiał ich historyczną wartość. W każdym razie masa papieru jest olbrzymia i chyba jeszcze nie wypracowaliśmy dobrych metod radzenia sobie z tym zalewem źródeł. Na swój użytek nazywam go kłątą IPN, te blisko sto kilometrów akt, i to, że pewna część produkcji wydawniczej IPN to opasłe tomy pod tytułem *SB a...* Jest w nich jakiś wstęp, a następnie siedemset stron dokumentów. Zawsze się zastanawiam, dla kogo takie dzieło powstało, ile osób z niego skorzysta? Przypuszczam, że kryje się za tym mechanizm „rozliczania produkcji” pracowników IPN i jego komórek organizacyjnych, nagradzający ilość, a nie jakość. Paradoksalnie, to podobne do mierzenia produkcji w PRL – w tonach surówki i węgla, liczbie wagonów i książek – bo ilość łatwiej się mierzy niż jakość. Przyłączam się do opinii prof. Eislera, że dostajemy często publikacje powierzchowne, teksty przyczynkarskie, że np. towarzysz X zrobił rzecz Y albo coś powiedział, bez wyjaśnienia, dlaczego autor zwraca nam tym faktem głowę, jakie z tego wnioski płyną, zwłaszcza ogólniejsze. Tutaj pozostaje bardzo wiele do zrobienia. Minęło dwadzieścia siedem lat od upadku rządów PZPR, trochę mniej czasu od udostępnienia archiwów, tysiące stron papieru zadrukowano tekstami o czasach komunistycznych, ale – wbrew tezie klasyka, że ilość przechodzi w jakość – mamy masę przyczynkarstwa i mało jest historiografii pogłębionej, analitycznej. Oczywiście należy ustalać podstawowe fakty: kto, kiedy, gdzie, jak?, ale poprzestanie na tym świadczy albo o braku jasnego celu publikacji, czyli też jej uzasadnienia, albo braku dość fundamentalnych umiejętności u autora.

G.W.: Dziękuję bardzo. Pan dr Błażej Brzostek.

B.B.: Po pierwsze, wydaje mi się, że PZPR była i jest badana przede wszystkim jako aparat władzy. Pytania, na które szuka się odpowiedzi w dokumentach, dotyczą głównie tego, jak PZPR kształtowała swoje państwo. Mamy bardzo bogatą wiedzę o tym, jakie decyzje podejmowano na kolejnych szczeblach organizacji partyjnej, jak je egzekwowano, jak karano ludzi, którzy się im nie podporządkowali. Wydaje mi się, że to jest główna część badań, na które się składa ogromna liczba publikowanych dokumentów źródłowych plus nieco mniejsza liczba analiz, ale one dotyczą przede wszystkim aparatu, ludzi zatrudnionych w partii raczej na wyższych stanowiskach. Takie dokumenty czy monografie lokalne PZPR dotyczą na ogół komitetu, a nie masy członkowskiej, o której wiemy znacznie

mniej. Raczej stawia się pytanie o to, jak partia kształtuje państwo, niż o to, jak państwo następnie wpływa na partię. Na przykład czy w jakiś sposób ogranicza ją przez swoje instytucje? Czy wytwarza się rywalizacja aparatu państwowego z partyjnym? Czy w ogóle można to rozdzielić? Wydaje mi się to interesujące, także na płaszczyźnie porównawczej. Partia w Polsce nie była tak zrośnięta z aparatem państwowym jak w Rumunii (ten casus znam najlepiej), gdzie to połączenie było zupełnie instytucjonalne, do tego stopnia, że w tym samym gmachu urzędował komitet wojewódzki partii i administracji wojewódzkiej, i ten sam człowiek stał na ich czele od końca lat sześćdziesiątych. Pytanie, czy także w Czechosłowacji lub NRD to zbliżenie było większe niż w PRL.

Po drugie, partię bada się na podstawie tego, co sama wytworzyła. To jest dominująca tendencja, która mnie wcale nie dziwi. Inaczej się w gruncie rzeczy nie da. Istnieje jednak zbyt duża dysproporcja między korzystaniem z tej metody a np. przeprowadzaniem rozmów z członkami PZPR. Tu wspomnieć trzeba wszakże o książce Krzysztofa Dąbka *PZPR: retrospektywny portret własny*. Ciekawe byłyby źródła, które pokazałyby postrzeganie partii przez inne instytucje. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, czy istnieją materiały, pokazujące, jak partię widziano wewnątrz ZSL, SD albo organizacji katolickich. O tych ostatnich wiemy akurat więcej, bo wydano *Dzienniki Zabłockiego*, które pokazują, jak jego ODiSS próbuje działać w państwie partyjnym. I to świetnie można rozwijać. Stosunkowo dużo wiemy o tym, jak wyglądał opór społeczny przeciwko partii; to jest temat, na którego badaniach skupiano się przez ćwierćwiecze. W pewnym okresie był to przedmiot badań traktowany chyba jako ważna gałąź historii społecznej w zakresie polityki PZPR. Chciałbym tylko zasugerować, że interesuje mnie szara strefa między partią a innymi instytucjami, innymi aktorami życia w PRL. To było jednak życie dość odległe od sowieckiego wzoru. I wydaje mi się, że Kościół, tzw. partie sojusznicze, stowarzyszenia, wreszcie sektor prywatny, chłopci to były siły społeczne, które reagowały na politykę PZPR, ale także na nią wpływały. Wreszcie interesuje mnie to, na czym polegał polski model działalności partii. Czym różniła się od partii bratnich? Na ogół rozwiązuje się ten problem tak, że zaprasza się badaczy z krajów sąsiednich i każdy coś opowiada. Ale rzadko to jest to dyskusja rzeczywista, dialog. Na czym polegały odmienności? To można śledzić od szczebla instytucjonalnego aż do poziomu, który mnie najbardziej ciekawi, ale o nim może później, czyli wewnętrznej kultury partyjnej, habitusu działacza partyjnego, jego etosu. Jak on się zmienia? Skąd się bierze? Jakie ma źródła? To jest mój punkt trzeci. Historiografia po 1989 r. kształtowała się jednak w cieniu upadłego PRL i w dużej mierze w ciągłej polemice z tym państwem. Wielu badaczy chciało po prostu udowodnić, jak bardzo było ono złe i zbrodnicze, jak bardzo jego aparat skupiał się na realizacji interesów innych niż „narodowe”. Zapominano zapytać o to, jakie w istocie te interesy były. Jak definiowano je „w terenie”? Jak tam postrzegano partię? Najwięcej wiemy o centralnym aparacie PZPR i o tym, jak działało centrum władzy w Polsce, ale o tym, jak wyglądało to w najmniejszych ośrodkach, które wpływały na życie obywateli, wiemy znacznie mniej. Przecież do połowy lat sześćdziesiątych to było społeczeństwo w połowie chłopskie, a pozostała część mieszkała głównie w małych miasteczkach – pięcioletnich. To była tkanka życia społecznego w Polsce. Z różnych badań lokalnych, a jest ich naprawdę bardzo wiele, można czerpać informacje cząstkowe. Zresztą niektóre z tych publikacji wydano już dość dawno. Pod koniec lat osiemdziesiątych powstała

ciekawa monografia Rzeszowa jako tzw. miasta socjalistycznego (Marian Malikowski, *Powstawanie dużego miasta*). Wynika z niej m.in., jak specyficzną rolę w lokalnych realiach odgrywał Władysław Kruczek, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, postać zaliczana na ogół do twardogłowych. Był człowiekiem partii, nadanym oczywiście z góry, ale z pochodzenia rzeszowianinem i definiował swoją działalność trochę inaczej, niż gdyby został „przywieziony w teczce”. Co więcej, lokalna inteligencja, lokalne elity do niego się kierowały, starając się rozwiązać problemy z władzą centralną. Dla nich był on więc tyleż „z partii”, ile „z Rzeszowa”. Wydaje mi się, że ten fenomen mniejszych miast występował przynajmniej od połowy lat pięćdziesiątych, a później wpływał na pamięć społeczną o PZPR. To czwarty punkt, na który chcę zwrócić uwagę. Wydaje mi się, że o tym w gruncie rzeczy chyba wiemy najmniej: jak wygląda pamięć społeczna o partii, na poziomie lokalnym przede wszystkim.

G.W.: Dziękuję bardzo. Może chcieliby się panowie odnieść do tego, co mówili przedmówcy?

D.S.: Dla ludzi z Rzeszowa on był człowiekiem z Rzeszowa w PZPR, a dla warszawskiej centrali człowiekiem z PZPR w Rzeszowie. Inaczej zapewne by się nie utrzymał na stanowisku. Dobrze, że odnotowaliśmy tę dwoistość ról społecznych, bo zdaje mi się, że była ona dość powszechna i dotyczy zarówno osób, jak i organizacji. Na przykład Związek Harcerstwa Polskiego, który po odrodzeniu w połowie lat pięćdziesiątych partia poddała ściślejszej kontroli. Programy działania hufców i chorągwi były nadzorowane przez odpowiednie komórki partyjne, a władze centralne i regionalne ZHP znalazły się w systemie nomenklatury, ale przecież nie była to organizacja taka jak ZMP w latach pięćdziesiątych. Z jednej strony harcerstwo stanowiło dla partii narzędzie wpływania na młodzież, ale z drugiej zaspokajało wiele potrzeb swoich członków i realizowało ideały instruktorów, w tym ideały i potrzeby bardzo odległe od partyjnych wytycznych. Ten przykład pokazuje występowanie złożonych procesów codziennych negocjacji zakresu swobody osób i instytucji, uzgadniania tendencji oddolnych z odgórnymi, oczywiście w warunkach wyraźnej asymetrii władzy. Notabene, wydaje mi się, że polityka PZPR była najskuteczniejsza właśnie wtedy, gdy była wdrażana z zastosowaniem takich subtelnych mechanizmów dostosowawczych.

Dodajmy od razu, że jeśli polityka partii potrafi za pośrednictwem takich mechanizmów niejako przenikać życie społeczne, to i sama partia, jej członkowie ulegają nieustannie wpływom pochodzącym spoza niej. Przecież jej członkowie byli integralną częścią społeczeństwa: to nie kosmici ani przybysze z ZSRR (choć byli i tacy) tworzyli jej masy członkowskie, a im bardziej partia stawała się masowa, tym bardziej upodobniali się do ogółu. Mieli oczywiście pewne cechy szczególne wynikające z formalnych i nieformalnych kryteriów selekcji i autoselekcji, np. nieporównanie częściej niż inni zajmowali kierownicze stanowiska czy rzadziej chodzili do kościoła, albo – co warto przypomnieć – byli lepiej niż ogół wykształceni: przypomnijmy, że do PZPR należał prawie co trzeci szeroko rozumiany inteligent. Niemniej – mimo tych różnic – nie żyli w izolacji od reszty, obejmowały ich ogólne zmiany demograficzne i kulturowe, tendencje w sposobie odżywiania czy spędzania wolnego czasu. PZPR wymaga poznania

i zrozumienia i jako aparat partyjny, czy rządzący, i jako organizacja masowa, i jako część społeczeństwa polskiego.

J.E.: Jeśli można, chciałbym kontynuować wątek ludzi w partii. Próbowałem to sygnalizować na szczeblu najwyższym, w książce o pierwszych sekretarzach KC PZPR. Nie mam problemu z używaniem słowa „komunista” w odniesieniu do tych, którzy byli w Komunistycznej Partii Polski i w PPR przed końcem II wojny światowej. Akces do partii komunistycznej poza przekonaniem wymagał jednak sporo odwagi cywilnej. Człowiek nastawiał się na coś, co można nazwać odwróceniem kariery: wyrzucą z pracy, pewnie aresztują, mogą zmusić do emigracji, trzeba się będzie ukrywać, rozleci się rodzina, z powszechnej perspektywy same negatywne zjawiska. Po 1945 r. natomiast, a już zwłaszcza po 1948 r., po powstaniu PZPR ten problem zniknął. Akces do partii nie tylko nie łączył się z ryzykiem, ale bardzo często ułatwiał karierę w najróżniejszych dziedzinach, przy czym ja radykalnie rozdzielałam dwie wymaginowane sytuacje. Przypadek pierwszy: wybitny lekarz, kardiochirurg, znakomitość i mówią mu tak: „Panie profesorze, jest pan wybitnym fachowcem, chcielibyśmy, żeby objął pan klinikę, ale towarzysze z centrali naciskają, że dyrektor powinien być jednak partyjny”. No i ten pod wpływem presji, dla dobra pacjentów, także dla własnej kariery, w pozytywnym tego słowa znaczeniu, wstępuje do partii. I przypadek drugi: kretyn, zero w medycynie, żadna kariera. I mówi się: „Może to nie jest wybitny lekarz, ale dobry towarzysz, a teren gorący i my tu go musimy postawić”. Dla mnie to są dwie zupełnie różne sytuacje, i ja to przekładałam na to, co widać dzisiaj. Zwróćcie uwagę, że w nekrologach albo we wspomnieniach pośmiertnych o partyjności mówi się tylko w odniesieniu do tych, którzy należeli albo do KPP, albo do PPR, bardzo dawno. Nie przypominam sobie, żeby zaznaczono to w przypadku kogoś z pokolenia starszego ode mnie, powiedzmy, o dziesięć lat.

B.B.: Chyba że rzucił legitymacją.

D.S.: Czasami w nekrologu jest – działacz lewicy.

J.E.: No dobrze, ale cały czas poruszamy się po bardzo cienkiej linii. To nie jest powód do chwały. Ludzie pamiętają, że byli w Solidarności, ale wszyscy zapomnieli, że przed rokiem 1980 należeli do branżowych związków zawodowych, bo inne przecież w Polsce nie istniały. Przynależność do PZPR jest dziś powszechnie odbierana negatywnie. Pewien problem sprawia mi jeszcze język tych ludzi. W zasadzie do końca 1989 r. słów „komunizm”, „komuniści” w oficjalnym obiegu nie używano.

D.S.: W języku zewnętrznym nie, ale w wewnętrznym – owszem.

J.E.: Tak, oficjalnie, w telewizji, w radiu, w prasie nikt z PZPR nie mówił „komuniści”. Dzisiaj natomiast wszyscy mówią „za komuny”, i to zarówno ci, którzy byli w PZPR, mają to w swoich życiorysach, ale się tym nie chwalą, jak i ci najbardziej antykomunistyczni, radykalni. Myślę, że to jest jakieś pojęciowe pomieszanie z poplątaniem. Jak wszyscy wiemy, przed wojną słowa „komunizm”, „komuniści” w języku polskim kojarzyły się bardzo źle.

Dlatego kiedy powstawała Polska Ludowa, unikano ich. Mówiono natomiast o demokracji: „Przed wojną była sanacja, a teraz jest demokracja”. To był zabieg socjotechniczny. Po części zadziałał on, a po części to oczywiście zasługa cenzury, aparatu represji itp., czyli metod nieperswazyjnych, twardych. Po 1989 r. wahadło wychyliło się w drugą stronę. To fascynujące, że nie w ciągu dwudziestu pięciu, ale tak naprawdę kilku, kilkunastu lat PZPR stała się sierotką. Przez ponad czterdzieści lat jej istnienia należało do niej pięciu ludzi: gen. Wojciech Jaruzelski, gen. Czesław Kiszczak, Aleksander Kwaśniewski, Mieczysław Rakowski i Leszek Miller. Takie w każdym razie można odnieść wrażenie, gdy przyglądamy się wielu współczesnym dyskusjom polityczno-historycznym.

D.S.: I jeszcze wstąpił do niej na końcu Jerzy Urban.

J.E.: Ale rozumiemy wszyscy, o co chodzi. Jest to pewien mechanizm. Jeśli spośród znanych aktorów, pisarzy, profesorów uniwersyteckich, humanistów – naszych mistrzów naukowych, do PZPR należała nie połowa, to na pewno jedna trzecia. Przecież *gros* luminarzy polskiej literatury po II wojnie światowej ma w różnych okresach w swoich życiorysach przynależność do partii. Bardzo starannie to wyczyszczono, a dla mnie fenomenem jest to, że wyczyszczono także w książkach. Dzisiaj nie ma cenzury, ale tych faktów w świadomości ludzi też nie ma.

G.W.: Chciałbym nawiązać do tego, co już zostało powiedziane. Rzeczywiście w historiografii w ostatnich latach, zwłaszcza w pierwszym okresie po powstaniu IPN, wielu badaczy skupiło się na badaniu oporu społecznego. Z pewnością jest to jedna z płaszczyzn kontaktu społeczeństwa z organami władzy. Wiadomo, że liczba osób stawiających opór była ograniczona, może z wyjątkiem kryzysów społecznych, i to też nie wszystkich. Przede wszystkim mam tu na myśli sierpień 1980 r. i rok 1956. To kryzysy, które miały charakter ogólnospołeczny.

Bez wątplenia jednak cały powojenny system instytucji nie był rezultatem naturalnych procesów społecznych, ale został zaprojektowany odgórnie i narzucony siłą przez komunistów. Nasuwa się zatem pytanie o to, dlaczego przetrwał tyle lat? Jak dalece społeczeństwo go zaakceptowało, uznało PRL za ojczyznę? Z czego wynikała pewna akceptacja? Czy początkowo, w pierwszych latach powojennych, pod wpływem strachu? A po 1956 r.? Czy to był strach przed strachem? Na czym polegał mechanizm intensywnego zaakceptowania przez obywateli systemu władzy? Czy to było tylko przystosowanie? A może zachodzące po wojnie procesy należy rozpatrywać w innych kategoriach? Jak panowie to widzą? Czy można wyodrębnić jakieś podokresy?

B.B.: Nie lubię odpowiadać na takie pytania, ponieważ z góry zakładają pewne kategorie, do których musimy przyporządkować to, co znajdziemy. Tworzymy te kategorie i łączymy: tutaj konformizm, tu strach, entuzjazm, akceptacja, a tu obojętność. Na ogół jednak motywacje ludzi i grup są bardzo złożone i zmieniają się, pulsują. Czym innym była przynależność do PPR latem 1945 r., a czym innym wiosną 1947. Ten sam człowiek znajdował się w dwóch różnych sytuacjach i różnie oceniali go inni, zwłaszcza ci, którzy znali go słabiej. Ludzie zawsze tworzyli kręgi, w których jednostki funkcjonowały

w pewnych układach i były oceniane właśnie w kontekście układu. Przynależność do PZPR była więc czymś zupełnie innym w układach A i B. Weźmy pod uwagę, że dochodziło do masowych migracji, i to zarówno w przestrzeni, jak i w hierarchii społecznej. Czy to wpływało na rzeczy, o których tu mówimy? Radykalnie. Migracje zmieniają nie tylko ludzi, ale też punkty odniesienia. Chłopak ze wsi, dla którego autorytetem byli ksiądz czy ojciec, których musiał słuchać, gdy jedzie do miasta, dostaje pracę i mieszka w hotelu robotniczym, na ogół traci te autorytety z pola widzenia w ciągu kilku miesięcy. Gdy potem wraca na wieś, już wie, że wyzwolił się spod ich wpływu. A kto te autorytety zastąpi? Przede wszystkim ci, którzy organizują pracę i za nią płacą, zapewniają mu hotel robotniczy i tzw. opiekę, czyli stołówkę czy przychodnię. Ci, którzy obiecują, że jeśli zapisze się do szkoły wieczorowej, to awansuje na majstra, a wtedy dobrze, żeby należał do partii, która o niego jeszcze lepiej zadba. Co w roku 1950 lub 1951 taki chłopak ze wsi może przeciwstawić takim argumentom? Bardzo niewiele. U niego na wsi w ogóle partii nie ma, a on przychodzi do miasta, do nowego świata. Partia odpowiada za sprawę decydującą o jego dalszym życiu.

Inna rzecz to lepsze, które ludzi w partii trzyma, i tu się zastanawiam nad zmianami partyjnego etosu, bo to jest temat, który wywierał z powodu wstydu wynikającego z własnej przynależności do PZPR i niechęci do wspomniania o tym. Mało było ludzi, którzy próbowali kontynuować etos partii, opowiadali o niej dobre rzeczy, najczęściej były to grupy niewielkie i emeryckie, takie jak ta wokół pisma „Dziś” Mieczysława Rakowskiego. Dlatego także rozmowa o etosie PZPR okazała się trudna, bo przez czterdzieści parę lat narzucała go propaganda jako pewien sztampowy obraz zewnętrzny. Wewnątrz partii natomiast wielu ludzi w niego wierzyło. Zmieniał się zresztą. Początkowo był to etos ludzi, którzy do partii należeli przed wojną, w okresie okupacji i wiązali to z działalnością podziemną, nonkonformizmem, więzieniami i braterstwem. Dla nich słowo „towarzysz” znaczyło zupełnie co innego niż dla członków partii w latach siedemdziesiątych. Towarzysz był współbojownikiem, kimś, na kogo możemy liczyć, który nie zdradzi. Chodziło o obsesyjny lęk przed inwigilacją, działalnością rozmaitych szpiegów, który pozostał w mentalności elit partyjnych lat pięćdziesiątych. Drugi etos miał charakter „radziecki”, wyznawali go ludzie, którzy przeszli w Związku Radzieckim przez szkoły i przez więzienia: przecież często zaliczyli jedno i drugie. Niektórzy stracili tam swoich najbliższych towarzyszy w latach trzydziestych.

J.E.: Także najbliższych członków rodziny.

D.S.: I pamięć o sowieckich represjach, o 1938 r., w nich jest. To jest jeden z ważnych czynników wpływających na osobliwości polskiej wersji rządów komunistycznych, np. to, że w Polsce nie było krwawej wewnątrzpartyjnej czystki czy procesu Ślánskiego.

B.B.: No właśnie, ale to wytwarza bardzo swoisty kompleks, który widać w wielu relacjach, bo ci ludzie ze Związkiem Radzieckim bywali nawet jeszcze silniej związani. Tam spędzili najdramatyczniejsze chwile w życiu, tam poznali współtowarzyszy niedoli, komunistów rosyjskich, często w łagrach. Albo mieszkali w Moskwie, widzieli potęgę

tej władzy i pozostała w nich też pewna groza. Ten bardzo specyficzny kompleks tkwił w nich i moim zdaniem naznaczał elitę władzy jeszcze w czasach Gomułki. Poza tym był etos rewolucyjny, który w latach stalinizmu przyjmowali młodszy. Interesowało mnie to na poziomie uniwersytetu, bo to akurat ostatnio badałem. Jak wyglądała organizacja partyjna UW w 1950 r.? Składała się w połowie ze studentów, a w połowie z kobiet. Nigdy później nie miała takiego kształtu. Za kadry odpowiadała studentka pierwszego roku. Do rektora zwracali się jak do towarzysza z organizacji, on nie miał żadnej funkcji, był tylko członkiem. Od połowy lat pięćdziesiątych wyglądało to inaczej. W latach sześćdziesiątych w organizacji partyjnej już prawie nie było kobiet. Pod koniec lat siedemdziesiątych należeli do niej wyłącznie pracownicy naukowcy, a pod koniec osiemdziesiątych tylko profesorowie, mężczyźni. A dwie panie zatrudnione były jako sekretarki. To odzwierciedla zanik etosu wielkiej zmiany. Te studentki z roku 1950 były bardzo bojowe, chciały zmienić świat. Wywrócić go do góry nogami.

J.E.: Tak, ale one w tych zmianach uczestniczyły i je widziały.

B.B.: Tak, uczestniczyły.

J.E.: A ich córki w latach osiemdziesiątych...

B.B.: Już nie. Wcześniej ten etos rewolucyjny miał w sobie coś autentycznego. Organizacja obiecywała młodszym członkom, że „ruszą z posad bryłę”, i część z nich w to wierzyła. Później właśnie oni zmieniali się w rewolucjonistów zawiedzionych, zwanych dysydentami, którzy ten etos ciągle w sobie mieli. Oni z partią rozstali się w bólach, stała się dla nich bezduszną biurokracją, aparatem władzy, co w pewnym sensie oznaczało ich osobistą porażkę. I w końcu mamy aktywizm lat siedemdziesiątych, już mało ideologiczny. Kto chciał coś zrobić na poziomie lokalnym, to prawdopodobnie najszybciej mógł to osiągnąć, działając w PZPR. Wbrew partii trudno było działać, zmieniać, wybudować drogę czy szkołę. Przynależność stała się rzeczą instrumentalną w gruncie rzeczy.

Mam wrażenie, że różne elementy etosu (jeszcze można szukać innych) współistniały długo. Problem PZPR polegał na tym, że jako partia władzy w gruncie rzeczy stale działała przeciwko tym poszczególnym etosom, tzn. w naturalny sposób żegnała się z etosami międzywojennym i „moskiewskim”, a potem, wraz z „unarodowieniem” PZPR w latach sześćdziesiątych, porzuciła etos rewolucyjny, bo rewolucja mogła w końcu partii zaszkodzić. Z etosem aktywizmu rozstano się boleśnie, ponieważ aktywizm przejęła Solidarność, wcześniej organizacje niezależnych związków, niezależne organizacje studenckie, jeszcze wcześniej w dużym stopniu oazy. Okazało się, że tych ludzi pozyskać już nie można. I co zostało? Moim zdaniem, nic.

D.S.: Nic to chyba za mocno powiedziane. A co np. z oportunistami, konformistami, szeroko rozumianymi, niekoniecznie w pejoratywnym sensie tego słowa?

B.B.: Tutaj nie ma etosu.

D.S.: Ale czy nie ma nici porozumienia między konformistami w stylu: „Ja rozumiem, ty rozumiesz. Jakoś trzeba żyć”?

B.B.: To na pewno. Prawdopodobnie to była większość.

D.S.: Widzę trzy potężne czynniki, które sprawiały, że poziom akceptacji, a behawioralnie rzecz ujmując – gotowości do zewnętrznego przynajmniej dostosowania do polityki partii, był względnie wysoki aż do końca lat siedemdziesiątych. Pierwszy to przekonanie o bezalternatywności porządku pojałtańskiego. Co jakiś czas przypominały o tym czołgi na ulicach miast, w Budapeszcie, Pradze, Gdańsku, na wielu polskich ulicach 13 grudnia 1981 r. Drugi czynnik to rozwój gospodarczy i idąca za nim poprawa warunków życia. Jeśli spojrzeć na wzrost PKB, czy używanego wtedy PNB, to mniej więcej do początku lat sześćdziesiątych, nawet biorąc poprawkę na wątpliwą wiarygodność danych gospodarczych, wyglądał całkiem dobrze.

To pozwalało na spełnianie obietnicy poprawy materialnych warunków życia, która się faktycznie dokonywała, i była nieustannie podkreślana i wyolbrzymiana przez propagandę. Notabene była to wschodnioeuropejska odmiana ogólnej tendencji budowy państwa dobrobytu. Ten proces wyhamowuje w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i zaczyna coraz bardziej rozmijać się z oczekiwaniami, które ciągle rosną. Kilkuletni okres prosperity za czasów wczesnego Gierka, kiedy płace realne rosły po 10 proc. rocznie, wzmocnił na jakiś czas ten motyw lojalności wobec partii, ale fiasko skoku gospodarczego w drugiej połowie dekady właściwie go unicestwiło.

Z rozwojem gospodarczym wiązał się trzeci czynnik – awans społeczny. Ruchliwość geograficzna i społeczna, o której mówił Błażej Brzostek, była w pierwszych dekadach PRL naprawdę wielka. Ale od lat sześćdziesiątych i zdecydowanie od drugiej połowy lat siedemdziesiątych ta dynamika słabnie. Z jednej strony maleją migracje ze wsi do miast, a z drugiej maleje ruchliwość społeczna, możliwości awansu – elity PRL zaczynają się reprodukcować.

Pamiętam dane z badania na temat pochodzenia społecznego studentów. W początkach PRL było wśród nich faktycznie wielu synów chłopskich, ludzi z niższych warstw społecznych, a pod koniec PRL to już w olbrzymiej większości dzieci inteligentów, warstw wyższych przynajmniej w sensie statusu społecznego.

J.E.: Do tej pory mówiliśmy głównie o tym, jak to wyglądało od strony ludzi. Dlaczego wstępowali? Jakie były ich motywy? Chciałbym jeszcze wspomnieć o pewnej istotnej zmianie. Nie umiem powiedzieć, kiedy dokładnie, ale myślę że w czasach Władysława Gomułki, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nastąpiło przejście od kadrowości do masowości. Pierwsi towarzysze, jeszcze ze stażem w KPP, uważali, że na przyjęcie do partii trzeba po prostu zasłużyć, a na dokładkę co pewien czas przeprowadzano czystki. Pierwszą tuż przed zjednoczeniem obu partii, dużo głębszą w PPS niż w PPR; skreślono wówczas kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Potem 250 tys. w 1956 i 1957 r., były w tej liczbie także „martwe dusze”, ale to też jest przecież „poprawa składu społecznego”, jak czasem nazywano takie posunięcia. Największa jednak kadrowa zmiana, blisko milion członków w latach 1980–1982, w zdecydowanej większości odbyła się bez

udziału PZPR. To ludzie odchodzą z partii, a nie ona czyści swoje szeregi. Owszem, wyrzuca Stefana Bratkowskiego, Bogdana Lisa, ale to raczej odosobnione przypadki.

Mówiliśmy o latach siedemdziesiątych, o ówczesnych motywach ludzi. No, to zadajmy pytanie: jakie motywy, wiedzę polityczną, ideologiczne przygotowanie w tej kwestii ma osiemnastoletni licealista po studniówce, a przed maturą, który zapisuje się lub – może lepiej byłoby powiedzieć – którego zapisuje się do PZPR? Wstępuje uroczyście do partii w czwartej klasie liceum w roku 1977, 1978, 1979 czy 1980. To jest już po prostu nabór niczym rybacką siecią. Odchodzimy od łowienia ryb wędką, przechodzimy do łowienia siecią. W tym samym czasie prawie 100 proc. generałów Ludowego Wojska Polskiego należało do PZPR, *gros* oficerów starszych, 80–90 proc. pracowników dyplomacji, a wśród oficerów Służby Bezpieczeństwa „stopień upartyjnienia” był bodaj jeszcze wyższy. Nie można też zapominać o cenzurze oraz niektórych instytucjach „frontu ideologicznego”. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych bez partyjnej legitymacji w takich miejscach nie dawało się funkcjonować, a w każdym razie nie można było robić kariery. W czasach Gomułki byłaby mowa o partyjnej rekomendacji lub akceptacji. Ale zdarzało się, wcale nie tak rzadko, że partia mówiła: „No dobrze, to nie jest nasz członek, ale fachowiec, nie jest przeciwko nam, nie występuje, zgadzamy się, popieramy”. W latach siedemdziesiątych to już były zupełnie pojedyncze przypadki, może w świecie sztuki, nauki, kiedy chodziło o konkretnego człowieka.

I jeszcze jedna kwestia. Pamiętam, jak kiedyś Andrzej Paczkowski w dyskusji pół żartem, pół serio powiedział, że jego zdaniem prawdziwy totalitaryzm w Polsce nastąpił po 1956 r. Wszyscy uważają, że był do 1956 r., a potem już pozostawał tylko w teorii, praktyka była raczej autorytarna. Tymczasem prof. Paczkowski tłumaczył, że po zmianach 1956 r. już nie trzeba było – rzeczywistych i domniemych – wrogów i politycznych przeciwników bić, torturować, mordować. Wystarczyło, że pistolet i pałka „tylko” leżały na stole oficera śledczego. Ludzie po stalinizmie już doskonale wiedzieli, co to oznacza.

G.W.: Strach przed strachem?

J.E.: Tak. Strach przed strachem. Na pochod 1 Maja szło się dlatego, że dziecko się na studia nie dostanie, talon na samochód cofną, mieszkania nie przydzielą. Wszystko to jest prawdą, ale to było zakodowane w ludzkich mózgach. Jeżeli chcemy być uczciwi i chcemy jak najbardziej zbliżyć się do prawdy, musimy powiedzieć o czynniku strachu. Trwanie w PZPR ze strachu. Co będzie, jeśli wystąpię? Jestem już tym członkiem ileś lat i ciągle się wstydzę. Cięży mi to. Przeszkadza. Nie chcę tego dalej dźwigać. Nie mam siły, ale jeśli oddam legitymację, to stracę stanowisko. Rodzina, dzieci na utrzymaniu. W pewnym sensie podobnie jest dzisiaj. Niektórzy nie mogą się sprzeciwić, bo kredyt bankowy, raty itp. W sumie to bardzo zbliżony mechanizm, sznurka na szyi, którego lepiej gwałtownie nie szarpać, bo może się zacisnąć.

D.S.: Zgodzę się, ale coś dodam. Strach był bardzo ważny, ale ważniejszy był w zapobieganiu zachowaniom niepożądanym niż w skłanianiu do zachowań zalecanych. Tylko to bardzo trudno zmierzyć – nie można zobaczyć, ilu różnych rzeczy ludzie nie zrobili, bo się bali. Pokażę to na przykładzie emigracji. W połowie lat pięćdziesiątych

nagle tysiące ludzi zaczęły składać wnioski o paszport, choć w poprzednich latach ci sami ludzie tego nie robili. Łatwo zgadnąć, dlaczego wcześniej nie składali – ze strachu i racjonalnej kalkulacji, że szanse dostania zgody są minimalne, więc po co się wychylać. Gdy malał lęk, pojawiały się zachowania, które on dotąd powstrzymywał. Natomiast do działania znacznie lepiej motywowały bodźce pozytywne, w tym oczekiwanie nagrody za to, że ktoś wstąpi, poprze, wypowie się, jak należy, skrytykuje, zgłosi do jakiegoś zadania. Jednym z ważnych źródeł erozji władzy PZPR od końca lat siedemdziesiątych była malejąca pula nagród, które partia mogła rozdawać, gratyfikacji materialnej i niematerialnej, symbolicznej. To było równie ważne, jak lęk przed karą.

J.E.: To prawda.

G.W.: To był przecież cały system.

D.S.: Od premii kwartalnych przyznawanych przez dyrektora, przez koniak od oficera prowadzącego, po wczasy na Krymie na najwyższym szczeblu. Można by stworzyć całą hierarchię takich nagród. I myślę, że było ich przynajmniej tyle, ile form represji.

B.B.: Co więcej, istotną nagrodą było to, że członek partii żył w grupie, wstąpiwszy do niej u progu lat pięćdziesiątych czy pod koniec czterdziestych.

J.E.: Wtedy zgoda, ale czy później też?

B.B.: Tak. Później też. Po pierwsze żyli w grupie zagrożonej, to niezwykle ważne. Jeszcze do końca lat czterdziestych, w okresie tzw. wojny domowej, lokalni działacze czuli się zagrożeni fizycznie. W związku z tym wytwarzał się pewien mit wspólnej walki. Potem, na początku lat pięćdziesiątych, to zagrożenie się zmieniło. Budowano wtedy, jak to się nazywa dzisiaj w Rosji, sztywny pion władzy. Lokalnemu aparatcykowi stale groziło, że zostanie „zdjęty”, ukarany za „nieprawidłowości”. To też, moim zdaniem, konstituowało grupy. Z dokumentów partyjnych z lat stalinizmu wyłania się powszechna „klikowość”. Kilku ludzi mających do siebie zaufanie w powiecie, w miasteczku, gdzieś biesiadujących w knajpie: lokalny szef milicji, sekretarz partyjny i dyrektor przedsiębiorstwa. Są w partii, ale nieraz z tymi, którzy w niej nie są, tworzą zamknięty układ, który trzęsie powiatem.

D.S.: Tak powstaje establishment. Ręka rękę myje. Socjologowie nazywają to konwersją kapitału społecznego i politycznego.

B.B.: Na początku lat pięćdziesiątych partia miała stosunkowo małe zasoby, ale budowała je z dekady na dekadę. Zasoby są zawsze zbyt małe z punktu widzenia tych ludzi. Mają ogromne zobowiązania, żąda się od nich wykonywania planów, przekazywania plonów...

J.E.: Z jednym zastrzeżeniem, jeśli panuje totalna bieda, jak wiosną 1945 r., to atrakcyjne są bochenek chleba, buty, w praktyce – wszystko. W tym czasie buty to jak samochód w 1975 r.

B.B.: Jest wojsko, które to daje, milicja. Rzeczywiście ludzie dla butów wstępowali wówczas do różnych organizacji. To się zmieniło w latach pięćdziesiątych, już nie chodziło o buty, ale powiedzmy o biurko z telefonem i możliwość odgrywania jakiejś roli. Przydział mięsa, miejsce w stołówce itp. Tutaj właśnie było widoczne to współdziałanie w grupie, która cały czas się boi kontroli, ale czuje się bezkarna na poziomie lokalnym.

D.S.: Powinniśmy tutaj przypomnieć o podziale na partię wewnętrzną i zewnętrzną. Myślę, że na początku niemal cała PPR była partią wewnętrzną, podobnie jak wcześniej KPP. Potem jednak, kiedy postawiono na umasowienie, to niemal automatycznie partia się rozwarstwiła na te dwie grupy. Duża część historii politycznej, o której najwięcej się pisze, to historia partii wewnętrznej. Partia zewnętrzna czeka jeszcze na swego dziejopisa.

B.B.: Tu bym dodał, że ludzie, których we wczesnych latach pięćdziesiątych rzucono do roboty partyjnej na dziewiczy teren, zwłaszcza do jakiegoś zakładu pracy, byli nieufni wobec wszystkich dookoła, potencjalnych wrogów prowadzących krecią robotę. Musieli szukać, pozyskać niektórych, ale ostrożnie. I chyba tak właśnie rodziło się osobiste zaufanie do niektórych osób, poczucie, że jeden drugiego nie zdradzi. Ta klikowość miała znaczenie kapitalne – na bazie powszechnej nieufności w stosunkach społecznych tworzyła się silna więź między kilkoma osobami. A czasem i nienawiść do nich w całym powiecie.

J.E.: Chciałbym połączyć to, co zostało powiedziane teraz, z tym, o czym wcześniej mówił prof. Stola, o słowie „towarzysz” w KPP-owskim znaczeniu. To się doskonale uzupełnia, właśnie bycie razem, owa klika czy sitwa, jakkolwiek ją nazwiemy. Oni, poza układami alkoholowo-towarzyskimi, czują się związani także politycznie. Boją się kontroli i równocześnie się nie boją. Oczywiście każda kontrola jest nieprzyjemna, ale jeśli się zadzwoni do Wacka albo Tolka, to załatwią, że kontrola będzie miękka, a może nawet wcale jej nie będzie.

B.B.: Wraz ze wzrostem bazy materialnej te relacje bardzo się zmieniają. Opisał to Kazimierz Orłoś w powieści *Cudowna melina*. W latach sześćdziesiątych pojawiał się pod miastem jakiś ośrodek wypoczynkowy, ci ludzie wiedzieli, że to ich teren, mieli poczucie bezpieczeństwa. Nie każdy mógł do nich dołączyć, ale kooptowano różne osoby, niekoniecznie z partii, do układu. Kontrole już tak często nie przyjeżdżały, a nawet jeśli, to nie spadały już głowy. Moim zdaniem, złotym okresem tego rodzaju stosunków były lata siedemdziesiąte.

G.W.: Umasowienie partii skutkowało spadkiem ideowości. Jeszcze w dokumentach z lat pięćdziesiątych widać autentyczną dyskusję. Bardzo często zapisywano głosy w dyskusji zupełnie nieredagowane, można powiedzieć, płynące z serca. W dokumentacji z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych tego już nie ma. Tam pojawia się już zupełnie typowy język, partyjny i urzędnicza nowomowa. Czy kryzys władzy nie wynika też, poza tymi wszystkimi elementami, o których panowie powiedzieli, z długiego okresu

jej sprawowania? Czy ludzie nie byli znudzeni? Bo normalnie w kraju demokratycznym władze się wymieniają. Prawie się nie zdarza, żeby dwadzieścia czy trzydzieści lat rządziła jedna grupa. Co więcej, po 1989 r. już po czterech latach tak naprawdę do władzy wróciła partia postkomunistyczna.

D.S.: Towarzysz Mao zgodziłby się w zupełności, bo temu służyła chińska rewolucja kulturalna z drugiej połowy lat sześćdziesiątych, przeciwko strupieszalej partyjnej biurokracji.

G.W.: To nie jest tak łatwo...

D.S.: Ale tego się bali towarzysz Gomułka i towarzysze radzieccy.

G.W.: A czy na przykład unarodowienie partii w latach sześćdziesiątych nie było nowym pomysłem na mobilizowanie? Bo tak naprawdę jej akcyjność zanika w latach sześćdziesiątych.

B.B.: Czy ja wiem, czy na mobilizację? Raczej na legitymizację.

D.S.: I jedno, i drugie. Nowa, nacjonalistyczna raczej niż rewolucyjna legitymizacja to też ożywienie słabnącej motywacji.

J.E.: Czasami opowiadam w różnych dyskusjach, że kiedy szedłem do szkoły, Władysław Gomułka był I sekretarzem. Kiedy kończyłem podstawówkę, był nim nadal, a gdybym rozpoczął naukę rok wcześniej, to jeszcze maturę zdałbym „za Gomułki”. To straszne dla dziecka i młodego człowieka. To jest wieczność.

D.S.: Niektórzy chwalą za tę stałość ustroje monarchiczne: długowiecznego cesarza Franciszka Józefa czy królową Elżbietę.

J.E.: Petryfikacja, o której ładnie piszą socjologowie czy politolodzy, z punktu widzenia dziecka, trzynastolatka wyglądała właśnie tak. Gomułka będzie zawsze. W 1970 r. miał sześćdziesiąt pięć lat. Kiedy odchodził, był półtora roku starszy niż ja w tej chwili. Gomułka był jakby wieczny.

B.B.: No dobrze, ale w takim razie Adenauer i de Gaulle, nie mówiąc o dyktatorach Portugalii i Hiszpanii, też byli „zawsze”.

G.W.: *À propos* długoletniego sprawowania władzy, przypomniła mi się anegdota związana z Józefem Cyrankiewiczem, rekordzistą pod względem okresu pełnienia funkcji premiera. Kiedy pod koniec swojego urzędowania odwiedził przedszkole, zapytał małego chłopca, kim chciałby zostać w przyszłości, gdy dorośnie. Ten po chwili zastanowienia powiedział, że chciałby zostać premierem. Wówczas Józef Cyrankiewicz odparł: „Nie może być nas dwóch”.

D.S.: Złośliwa, ale celna anegdota, wygląda jak od Słonimskiego.

G.W.: Ale ostatecznie kryzys grudniowy w 1970 r. przyniósł w Polsce zmiany. Odeszli Gomułka i Cyrankiewicz, ich miejsce zajęła nowa ekipa, Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz i inni. W wielu obszarach nastąpiły zmiany, także w społeczeństwie i partii. Zmienił się świat, styl życia, zachodziły przemiany cywilizacyjne, demograficzne. Ostatnich dwadzieścia lat, lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, co panowie już sygnalizowali, znacznie różniło się od okresu wcześniejszego. Pojawiła się opozycja, a w latach osiemdziesiątych Solidarność. Pierwszy okres dekady Gierka to pewne nowości, które przynajmniej część osób fascynowały. Gierek wysyłał sygnały w stronę różnych środowisk, co w połączeniu z bardziej liberalną polityką przełożyło się na większą akceptację. Później to się załamało.

B.B.: To bardzo ciekawy, wielki temat – jak partia zmieniała się pod wpływem wchodzących do niej ludzi. I jak próbowała z tym walczyć, a potem chyba się temu w dużym stopniu poddała, wytwarzając zewnętrzne reguły konformacji wypełnione treścią bardzo odległą od początkowych założeń teoretycznych, coraz odleglejszą. Można powiedzieć, że społeczeństwo polskie w jakimś stopniu przekształciło partię rządzącą. To chyba dotyczy każdego państwa komunistycznego.

D.S.: Pamiętam, jak w materiałach sekretariatu chyba z 1972 r. znalazłem informacje o postępach sekularyzacji i laicyzacji, które wtedy, zwłaszcza wśród inteligencji, były znaczące. To się odwróciło nie wiadomo kiedy, w latach siedemdziesiątych, zanim jeszcze Wojtyła został papieżem. Z jednej strony mamy działaczy partyjnych, którzy potajemnie chrzczą dzieci, a z drugiej strony całkiem spore grupy społeczne, które się laicyzują.

G.W.: Czy jednak laicyzacja nie była trendem ogólnoeuropejskim? Podobnie jak w Europie Zachodniej?

D.S.: Tak, ale w Polsce postępowała dużo wolniej niż np. w Niemczech.

G.W.: Generalnie wydaje mi się, że pewna wstrzeźliwość w zwalczaniu Kościoła w Polsce, widoczna w latach siedemdziesiątych, mogła się wiązać ze świadomością w partii, że trend laicyzacji kiedyś do nas przyjdzie.

B.B.: Całkowicie się zgadzam, partyjni bywali zainteresowani teoriami socjologów po 1956 r. Na przykład Edward Ciupak był wtedy jednym z najważniejszych socjologów zajmujących się religijnością i głosił, nie wymyśloną na potrzeby PRL, tylko w socjologii zachodniej, teorię o nieuchronności sekularyzacji. W gruncie rzeczy bliskie to było oczekiwaniom aparatu partyjnego: nie warto szarpać się tak z Kościołem. W latach siedemdziesiątych sądzono chyba, że wystarczy poczekać.

D.S.: Wiara, że historia jest po naszej stronie.

B.B.: Uważano tak: walcząc z Kościołem, tylko go cementujemy, a odpuszczając, osłabiamy zainteresowanie. Oto zapisek w *Dziennikach Zabłockiego* o tym, że w 1975 albo 1976 r. prymas Wyszyński miał zgodnie z prawem kanonicznym odejść na emeryturę i zależało to od zgody Watykanu. W rozmowie z działaczami katolickimi Stanisław Kania stwierdził, że nie będą naciskać na Watykan, aby zmienił Wyszyńskiego. Niech zostanie.

D.S.: Bo się bali, że zastąpi go Wojtyła.

B.B.: No właśnie, lepiej zostawić, jak jest, i wszystko rozejdzie się po kościołach.

G.W.: Nie wiem, czy panowie się zgodzą, ale myślę, że w latach siedemdziesiątych widoczny był mentalny rozdział Kościoła od państwa.

B.B.: A państwo to akceptowało.

G.W.: Społeczeństwo przyjmowało tę dwoistość. Nie istniał już taki silny związek, jak jeszcze w latach czterdziestych czy pięćdziesiątych.

B.B.: Bo zrezygnowano z takich widocznych represji antykościelnych. One oczywiście ciągle trwały, ale zmienił się ich charakter. Nie prowadzono tak zmasowanych kampanii, jak w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, żadnej dekrucyfikacji, bo i krzyży już nie było ani religii w szkołach. Takich akcji już nie trzeba było prowadzić. Ludzie się przyzwyczaili do tego, że religii w latach osiemdziesiątych uczono w salkach przy kościołach.

D.S.: I dopiero decyzja rządu Mazowieckiego wywołała tutaj rewolucję.

J.E.: I podziały.

B.B.: Nie sądzę, aby to było powszechne żądanie społeczne w tym okresie, raczej oczekiwanie elit kościelnych.

G.W.: Na koniec pytanie o zjawisko biernego oporu. Czy coś takiego istniało w społeczeństwie, czy można mówić o biernym oporze w strukturach partii?

D.S.: Myślę, że istniało, ale ja bym to doprecyzował, bo są różne formy niewspółdziałania. Uważam, że niedocenianą przez historyków formą jest unik i uchylanie się. Dla mnie to dużo lepsze określenia, bo „opór”, nawet bierny, oznacza, że ktoś naciska, a ja się opieram. Natomiast unik, uchylanie się – znaczy, że robię krok w bok, schodzę z drogi silniejszemu, żeby móc żyć po swojemu. Czy w PZPR był bierny opór, zwłaszcza w partii wewnętrznej? Wydaje mi się, że biurokratyzacja i powstanie układów, zwłaszcza na poziomie lokalnym, mogły skutkować tym, że instrukcje z góry – jeśli były nie po myśli tych grup – wykonywano z mniejszym zaangażowaniem, one grzęzły. Można było np. przedzić Józka, Jurka czy Krzyśka o kontroli, zadzwonić.

J.E.: Przytrzymać.

D.S.: Czy możemy mówić o oporze między centrum władzy, Biurem Politycznym, Sekretariatem czy KC a jakimś komitetem powiatowym, potem gminnym czy jakimś małym wojewódzkim? To zdaje się dopiero wymaga zbadania. Zapytałbym też, przeciwko czemu był opór na zewnątrz partii? Czy przeciwko komunistom w ogóle, czy raczej przeciwko konkretnej sprawie? Władzy PZPR, zwłaszcza na początku lat siedemdziesiątych, poza zgoła marginalnymi grupami, nie kwestionowano jako takiej, zwłaszcza że wydawała się bezalternatywna.

J.E.: Ciekawa jest też kwestia oporu na naj-, naj-, najwyższym szczeblu. Czy możliwy był, a jeśli tak, to kiedy, i czy się zdarzał opór wobec oczekiwań, pragnień radzieckich towarzyszy. Od razu nasuwa się przykład Kani w latach 1980–1981.

G.W.: W okresie powojennym w Polsce z pewnością nastąpił awans społeczny dużej grupy osób, skokowy wzrost wykształcenia, przynajmniej do pewnego momentu rozwój gospodarczy. Za tymi osiągnięciami stała władza i czerpała z tego określone korzyści. Już zupełnie na koniec chciałbym zapytać, czy te wszystkie przemiany nie były tylko częścią ogólnoeuropejskiego trendu?

D.S.: Wtedy była tylko jedna Polska, w przeciwieństwie do Niemiec, tak więc nie mamy materiału porównawczego, nie możemy zbadać, jak wyglądałyby w niekomunistycznej Polsce likwidacja analfabetyzmu i uprzemysłowienie. Jeśli chodzi o lata pięćdziesiąte i początek sześćdziesiątych, to wzrost był dynamiczny. Komunistom udało się przenieść miliony chłopów do przemysłu i zwiększyć ich produktywność. Oczywiście miało to swoje materialne i niematerialne koszty, ale te trudno się mierzyć.

J.E.: Ja bym jednak z tego, co wymieniałeś, wyłączył analfabetyzm. Nie ma go dzisiaj w Europie, ani w Hiszpanii, ani w Bułgarii, ani w Rumunii, ani w Norwegii, ani w Czechach, ani w Wielkiej Brytanii. W Europie to zjawisko właściwie nie istnieje od połowy lat pięćdziesiątych mniej więcej.

G.W.: Komunistyczna propaganda zawsze jako punkt odniesienia podawała to, co było przed wojną.

J.E.: Naturalnie. Przypisywała sobie zasługę tysięcy nauczycieli, bardzo wielu ludzi.

D.S.: Oczywiście, to nie Biuro Polityczne uczyło czytać i pisać mieszkańców Podkarpacia, tylko lokalni nauczyciele. Dlatego trzeba pytać, czy warunki polityczne i gospodarcze pracy tych nauczycieli, ukształtowane przez Biuro Polityczne, były optymalne, czy bez komunistycznej dyktatury, zależności od ZSRR i etatyzacji gospodarki wzrost poziomu wykształcenia nie byłby lepszy. Tam, gdzie mamy możliwość porównania – w NRD i RFN, widać, że rynek i demokracja radziły sobie zwykle lepiej niż plan i dyktatura.

J.E.: Nie wolno zapominać, że sama umiejętność pisania i czytania jest bardzo przydatna, ale wtedy obowiązywała surowa selekcja książek. Czytać tak, ale co? „Trybunę Ludu”?

G.W.: Dziękuję panom za rozmowę.

Błażej Brzostek (ur. 1977) – historyk, doktor habilitowany, adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się historią społeczną Europy XX w., zwłaszcza Polski i Rumunii. Opublikował m.in.: *Robotnicy Warszawy. Konflikty codzienne 1950–1954* (2002); *Za progiem. Codzienność w przestrzeni publicznej Warszawy* (2007); *Paryż Innej Europy. Warszawa i Bukareszt, XIX i XX wiek* (2015).

Jerzy Eisler (ur. 1952) – historyk, profesor, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie. Autor wielu książek z najnowszej historii Polski i Francji. Opublikował m.in.: *Phillippe Petain* (1991); *Polski rok 1968* (2006); *Polskie miesiące czyli kryzys(y) w PRL* (2008); *Grudzień 1970, geneza, przebieg, konsekwencje* (2012); *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014).

Dariusz Stola (ur. 1963) – historyk, profesor, wykładowca w Instytucie Studiów Politycznych PAN oraz Collegium Civitas, dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich. Autor wielu książek. Opublikował m.in.: *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968* (2000); *Złote lata PZPR. Finanse partii w dekadzie Gierka* (2008); *Kraj bez wyjścia. Migracje z Polski 1949–1989* (2010).

Grzegorz Waligóra (ur. 1975) – historyk, doktor nauk humanistycznych, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN we Wrocławiu. Autor wielu publikacji. Wydał m.in.: *Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela* (2006), *Opozycja polityczna na Dolnym Śląsku 1975–1980* (2016).